

Wystawa: „Willa z widokiem na Bejrut. Architektura Karola Schayera“

17–31 października, otwarcie: 17 października, godz. 18.00

miejsce: ul. Frascati 4

kuratorzy: Ana Janevski, George Arbid

projekt ekspozycji: Rafaela Drazic

Kuratorzy:

George Arbid. Profesor architektury na Uniwersytecie Amerykańskim w Bejrucie i Uniwersytecie Harvarda. Badacz nowoczesnej architektury bliskowschodniej, autor licznych publikacji, w tym mającej się niebawem ukazać monografii „Karol Schayer – architect. A Pole in Beirut“ (Architekt Karol Schayer. Polak w Bejrucie).

Ana Janevski. Kuratorka sztuki. Absolwentka wydziału filozofii Wyższej Szkoły Nauk Społecznych w Paryżu. Od 2007 roku pracuje w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, jest autorką pierwszej wystawy Muzeum, prezentowanej wiosną 2008 roku – „Kiedy rano otwieram oczy, widzę film. Eksperyment w sztuce Jugosławii lat 60. i 70.“.

Opis:

Karol Schayer (1900–1971) to polski architekt urodzony we Lwowie i wykształcony na tamtejszej Politechnice. W późnych latach 20. Przeniósł się do Katowic, gdzie od 1935 roku prowadził biuro architektoniczne. Jego największym dziełem było Muzeum Śląskie w Katowicach, jedno z najnowocześniejszych wówczas muzeów w Europie, które, w stanie nieukończonym, zostało rozebrane przez Niemców w czasie wojny jako niepożądany symbol polskości Górnego Śląska. Jedyny obiekt wzniesiony według projektu Schayera w Warszawie to elegancka modernistyczna willa rodziny Chmielewskich przy ul. Frascati 4, ukończona w 1937 roku. To ją widział z okna swego pokoju w gmachu YMCA przy ul. Konopnickiej Leopold Tyrmand – uwiecznił ją w słynnym „Dzienniku 1954“ jako obiekt westchnień za klasą i jakością przedwojennej architektury.

W 1946 roku Karol Schayer zamieszkał w stolicy Libanu, Bejrucie, gdzie w latach 50. i 60. zaprojektował ponad 140 budynków i tym samym stał się centralną postacią w tamtejszym środowisku architektów, nadających rozkwitającej śródziemnomorskiej metropolii modernistyczne oblicze. Projekty tworzone w Bejrucie przez Schayera i jego współpracowników charakteryzowały się równowagą pomiędzy minimalistycznym rygoryzmem tzw. stylu międzynarodowego a nawiązaniami do lokalnego kontekstu i uwarunkowaniami klimatycznymi, ekonomicznymi i technicznymi.

Dziś, wraz z ponownym odkryciem modernizmu i jego architektury jako eksperymentalnego, awangardowego projektu społecznego, losy Karola Schayera stają się szczególnie inspirujące. Architekt niemal zapomniany we własnym kraju, uznawany przez niektóre źródła za zmarłego w czasie wojny, w swej drugiej ojczyźnie – Libanie – jest postacią powszechnie znaną i docenianą.

Dokonanie ponownej oceny całej twórczości Schayera jest więc wyjątkowo aktualnym zadaniem zarówno w Polsce, jak i w Libanie, w obu miejscach współczesne podejście do architektury zdradza bowiem brak zrozumienia dla lokalnej tożsamości i redukuje ją do powierzchownego historyzmu bądź rozgorączkowanego hi-tech.

Pierwsza wystawa dorobku Karola Schayera w Polsce - rysunków i fotografii z archiwum George'a Arbida, libańskiego historyka architektury, profesora Uniwersytetu Harvarda, badacza twórczości polskiego architekta – odbywa się w witrynie na terenie willi Chmielewskich przy ul. Frascati 4. Budynek ten w latach powojennych został przebudowany, taras na dachu zabudowano, zamurowano elegancki okrągły prześwit w jednej ze ścian – spotkał go zatem typowy los wielu pereł architektury modernistycznej. Podobnie dzieje się ze spuścizną Schayera w Libanie – jedna z ikon powojennego boomu ekonomicznego Bejrutu, zaprojektowany przez Polaka hotel Carlton, został w 2008 roku

wykupiony przez dewelopera i rozebrany, w jego miejsce miał powstać ekstrawagancki drapacz chmur, ale projekt ten padł ofiarą kryzysu i nic nie wskazuje, by miał zostać zrealizowany.

Wystawie towarzyszy wykład prof. George'a Arbida, 17 października, godz. 16.00, Audytorium Muzeum, ul. Pańska 3.

Leopold Tyrmand o willi Chmielewskich przy Frascati 4, „Dziennik 1954”, ss.267-268, wydawnictwo MG, Warszawa, 2009:

Skoro już o domach, to warto odnotować dziś pewne myśli, które trapią mnie od dawna i wiążą się w motyw jak gdyby literacki, a może gęstnieją w filozoficzną zadumę, choć nie bardzo wiem, co to znaczy. Kiedy zamieszkałem w YMCA w 1948 roku, okno mego ówczesnego pokoju wychodziło na skwerek przy zbiegu ulic Konopnickiej, Frascati i Pułkownika Nullo. Zaraz za rogiem, na sąsiedniej alei Na Skarpie, mieściły się przed wojną biura ambasady francuskiej, do których w roku 1938 chodziłem po mą studencką wizę. W owym czasie Warszawa piękniała z miesiąca na miesiąc, te zaś ulice owiane były samym czarem istnienia, dostatkiem, elegancją najlepszych dzielnic – niepokalana czystość trotuarów, zieleń trawników, modny, wielkowiejski dobrobyt. Na rogu Frascati i Pułkownika Nullo właśnie wykańczano dom o kubaturze wskazującej, że budują ludzie bogaci, jako rezydencję lub ograniczony wynajem czynszowy. Stylistycznie wywodził się, jak tu wszystko, z Bauhausu i od Perreta, ale był już dalej o dwie dekady niepohamowanego rozwoju funkcjonalnych form, współczesnych tworzyw, metali, ceramik, mas plastycznych. Byłem młody, z niezamówionej kamienicy na Trębackiej, chciwy spełnień materialnych, które zdawały mi się rdzeniem powodzeń, i dom ten kojarzył mi się z urodą egzystencji z przedwojennych komedii filmowych, hollywoodzkich i rodzimych: fascynujący, motyli byt milionerów i gwiazd ekranu, pośród błyskotliwych akcesoriów w geometryczną sztancę, opływowych mebli, Myrna Loy lub Maria Malicka na modernistycznie giętych sofach. [...] Syciłem oczy jego konstruktywistycznym zwieńczeniem w zielonkawym okafelkowaniu, tarasem wkomponowanym w bryłę. Roziłem, że kiedyś będę miał pieniądze, wrócę tu i postaram się o ten dom.

Później uczyłem się architektury w Paryżu na Beaux-Arts i świetniejsze egzemplarze stylu zatarły we mnie dom na Frascati, co nietrudno, gdy ma się osiemnaście lat. Wrócił, znacząco i dziwnie, gdy w wojnę mieszkaniem moim stały się baraki i więzienia, obskurne hotele i okrętowe kubryki, na europejskich rozłogach między Prypecią a Stavanger. Czyli wrócił jako przedmiot marzeń o godności życia, o jakimś pięknie. Przewracałem się na barłogach ze słomy, na podłogach więziennych cel, na dechach koj, na pryczach obozów, i pod powiekami biegły obrazy o tym, jak ja tam mieszkam, opalam się na tarasie, wychodzę po schodach otoczonych boazerią, ja na wykwintnej ulicy, w ramach wielkowiejskiej doskonałości. „Mieszkać tam, mieszkać tam...” takie słowa, jak modlitwa, stapiały zamiar, pragnienie i niezniszczalność wśród nocnych wyziewów niewoli. Przez lata dom był symbolem, jak każdy ideał wymazany z rachub przez trzeźwość.

Gdy dostałem klucz do mego pokoju w YMCA, po raz pierwszy przekroczyłem jego próg i miałem przed sobą czyste, jasne mieszkanie, szczupłe, lecz podówczas równe w Warszawie pałacom, podszedłem do okna i wzrok mój spoczął na domu, odległym ode mnie o niewielki skwerek. Był w rozkładzie: okna zabite dyktą, tynk odrapany, wspomnienie po trawniku, upstrzone nieczystościami, obudowa tarasu rozłupana przez pocisk czy zaniedbanie, drzwi oblaźłe z politurę, zielone farfury na zwieńczeniu potrzaskane, brudne, co drugiej nie ma. Sformułowałem w sobie, a może nawet powiedziałem głośno do siebie: „Moje marzenie...”